

Seldzucy, hańkując, zbliżyli się wyciągniętym galopem do szyku krzyżowców. Już z dwustu kroków posłali w górę deszcz strzał pod stromym kątem. Pociski zatoczyły parabolę, na jej szczycie niemal zawisły w bezruchu, a potem, nabierając w locie ku ziemi ogromnego pędu, runęły w dół. Spadały gęsto, na moment przesłaniając widok na kształt śnieżnej zamieci⁶. W mgnieniu oka, z sykiem i stukotem setek uderzeń zasypały oddział templariuszy. Na szczęście większość strzał trafiła w piach między krzyżowcami lub w nastawione tarcze. Zasłony na wozach wyglądały, jak jeże usypane dziesiątkami pocisków. Na linii piechoty padło kilku rannych i zabitych, porażone zostały też dwa czy trzy konie.

Seldzucy ponowili salwę na odległości stu kroków od szyku. Tym razem strzelali płasko, na wprost. Większość pocisków wyłapały wielkie pawężę piechoty.

– W nich bij! Bij w skurwysynóóóóóóóóów!!! – zakrzyknął teraz brat Piotr, niebaczny w ogniu walki, że templariusz winien wyrażać się dwornie i pięknie⁷.

Kusznicy – dobrze widzący teraz wroga przez luki między pawężami – dali salwę. Szczęknęła ponad setka kusz i masywne bełty o kutyh grotach pomknęły w kierunku Saracenów. Celowano głównie w konie i te, niewinne niczemu stworzenia, przyjęły na siebie grad rozpędzonego żelaza. Padło naraz dwadzieścia czy trzydzieści koni, zrzucając bądź gniotąc jeźdźców. Niektóre, pomimo trafienia i upadku, porwały się z rzeniem na nogi i z przeraźliwym kwikiem rozbiegły przed ścianą z tarcz. Inne po uderzeniu bełtów stawały dęba, bijąc ziemię kopytami, wierzgając i starając się sięgnąć pyskiem do miejsca, gdzie wbił się w ciało śmiertelny grot. Salwa zmiotła też z kulbak kilku trafionych Seldżuków. Czambuł zmieszał się, zapadł w siebie, zagotował i nie sięgając linii piechoty, z krzykiem zawrócił. Tylko nieliczni jeźdźcy podczas odwrotu wystrzelili w kierunku Franków.

6 W kronikach często pojawia się wzmianka, że intensywny ostrzał z łuków sprawiał wrażenie, jakby padał śnieg.

7 Tak wprost określała to Reguła.

Na głos trąbki linia pawęży drgnęła, uniosła się i cały szyk ponownie ruszył w kierunku obozu pod królewskim orłem. Tym razem nikt już go nie atakował i gdy byli o tuzin kroków od bratniego szańca, linia wozów królewskiego obozu otworzyła się i oddział templariuszy, w dobrym porządku, wmaszerował do środka. Najpierw wozy z rannymi i dziećmi, potem konni, a na końcu piechota do ostatka chroniąca pochód.



Widok, jaki Winrych zastał w obozie króla Konrada, nie natchnął go optymizmem. Zbrojnych było w nim sporo, z tysiąc ludzi, może nawet więcej. Nie mieli jednak prawie wcale koni, a kusznicy wystrzelali już niemal wszystkie bełty. Winrych odszukał zaraz za barykadą dowódcę królewskich strzelców i poradził, aby zaczęli zbierać saraceńskie strzały, przycinać je i robić z nich prowizoryczne pociski do kusz. Zawsze było to coś więcej niż nic. Winrych zdziwił się, że do tej pory nikt w obozie na to nie wpadł.

Zewsząd wznosiły się okrzyki witania i radości. Widać było, że przybycie oddziału templariuszy wlało w serca obrońców nową nadzieję. Szybkim krokiem podeszli do niego królewscy dowódcy Hermann von Belcke i Joachim Osterode. Winrych znał ich z rady wojennej.

– Wiedzieliśmy, wiedzieliśmy, że do nas dołączycie, komandorze! – odezwał się jako pierwszy z nich Hermann von Belcke z głową owiązaną zakrwawionym opatrunkiem. – Chodźcie do miłościwego pana. Uradzimy, co dalej nam czynić wypada.

Winrych zsiadł z konia, rzucił wodze giermkowi i podążył za dowódcami.

W namiocie pośrodku obozu król Konrad, mężczyzna średniego wzrostu, czarniawy, lat niespełna trzydziestu, cierpiał srodze od rany w udzie. Otaczało go kilkunastu znaczniejszych feudałów i dowódców. Medyk usunął już grot strzały, ale krew nadal leciała z rany i szykowano się do jej wypalenia. W małym piecyku pełnym rozpalonego żaru cyrulik rozgrzewał narzędzia do kauteryzacji.

Na widok von Falkenberga król uśmiechnął się przyjaźnie i skinął dłonią, żeby ten usiadł na sofie obok niego.

– Zaskoczyli nas poganie. Boleję, bracie, że tak wielu w radzie wojennej nie słuchało waszych przestróg. – Spojrzał wymownie na swoich dowódców. – Jednak nie odstanie się, co się stało. Jak myślicie, damy radę wyrwać się z tej obieży?

Winrychowi przemknęło przez głowę, że prawdziwy wódz każdej radzie wojennej potrafi narzucić swoją wolę, głośno jednak odparł:

– Sprawy stoją źle, miłościwy panie. Wprawdzie Saraceni zużyli większość i swoich sił, jednak nadal kontrolują nasze poruszenia, bo oni mają konie, my zaś nie. Rozumiem teraz, czemu nikt z waszego obozu nie wyszedł naprzeciw straży tylnej, kiedy przebijała się do was. – Wiecie, co teraz dzieje się ze strażą tylną? – zwrócił się do Hermanna i Joachima.

– Uformowali się na wzgórzu za naszym obozem, ale oddzielają nas Turcy – odpowiedział Hermann.

– To nasz jedyny oddział, który ma jeszcze sporo koni i ludzi – rzekł, ważąc słowa, Winrych. – Za wszelką cenę trzeba się z nimi połączyć. Z naszymi pieszymi mogą osłonić odwrót i odpychać szarżę wroga, jeśli będzie napierał. Mogę spróbować przebić się do nich z moimi konnymi i sprowadzić do nas, bo pewnie nie mają pełnego rozeznania w sytuacji.

Mam na dzisiaj dosyć słów „przebić się” – pomyślał – ciągle je powtarzamy i niedługo nie będziemy już mieli ani czym, ani dokąd się „przebijać”.

– Jeśli to się nie powiedzie, musicie się sami ratować, miłościwy panie, wziąć kilku zaufanych żołnierzy i opuścić obóz. A my... my stawimy opór, póki sił starczy.

W tej chwili do namiotu wpadł jeden z rycerzy nadwornej chorągwi króla i zawołał:

– Miłościwy panie, Turcy następują, zaczęli schodzić od swojego obozu!

– Zobaczcie, co to oznacza – rzekł król do Winrycha i dowódców. – I zdecydujcie, co czynić.

Winrych i Hermann wybiegli z namiotu i po plątaninie najrozmaitszych sprzętów wspięli się na szczyt szanica przy królewskim proporcu.

Z góry kotliny, od namiotu sułtana, schodziła ku nim lawina ciężkiej, doborowej konnicy. Widać było, jak między oddziałami śmigają posłańcy na lotnych koniach. W głębi pola ponownie szykowały się czambuły seldżuckich łuczników.



Sułtan Ikonium, Mesud Pierwszy, zahartowany w boju, siwy, prawie sześćdziesięcioletni weteran, spojrział z wysokości siodła na stojącego przy nim kronikarza Takiego ibn Bursukiego.

– Cóż mi powie na to mój ulubiony uczony historyk? – Wskazał upierścienioną dłońią na widoczny na polu bitwy proporzec templariuszy, który właśnie pojawił się za liniami umocnień obozu królewskiego.

– Poganie połączyli swe siły, o władco, lecz cóż to znaczy wobec twojej mocy. Dzień będzie i tak należał do wiernych.

– Nasi ludzie też zużyli się w boju – przytomnie zauważył sułtan. – Czy to już moment na ostatni atak? – powiedział na poły do siebie, na poły do uczonego.

– Czyż warto chować armię na dzień po bitwie? – odparł kronikarz z namysłem.

Mesud zadumał się chwilę. Zrzędzeniem losu stał w miejscu, gdzie jego ojciec poniósł z rąk Franków pierwszą porażkę⁸. Dzisiaj, pod buńczukami⁹ ojca, to on trzymał w rękach szale zwycięstwa. Przeczesał palcami swoją pięknie utrzymaną brodę, co zwykł był czynić, gdy nad czymś medytował. Potem gestem dłoni przywołał jednego z konnych kurierów, stojących za nim i rzekł:

8 Bitwa pod Doryleum w czasie I krucjaty była pierwszym wielkim zwycięstwem krzyżowców.

9 Sztandar typowy dla ludów stepu i używany przez tysiąclecia – kilka ogonów końskich oprawionych w metal i zatkniętych na długim drzewcu.

– Ruszaj, chłopcze, co koń wyskoczy do Il-Ghaziego, i przekaz mu, że wolą moją jest uderzyć wszystkimi trzema oddziałami gwardii na gjaurów. Niech zbierze i poprowadzi ze sobą też konnych łuczników z równiny. – Pokazał ręką na pole bitwy. – Zrozumiałeś?

Młody kurier z nabożną powagą skłonił się głęboko.

– Zrozumiałem, o panie!

– Ruszaj tedy!

Słońce chyliło się ku zachodowi.



W obozie królewskim na ten sam zachód słońca patrzył Winrych von Falkenberg. Zadumał się nad nim na chwilę, porównał z podobnym zachodem słońca nad Renem, sprzed wielu lat, gdy wracając z polowania z ojcem, patrzył na przełom i dolinę wielkiej rzeki. Słuchał tamtego wieczora opowiadania rodzica o złocie Nibelungów zatopionym w jej odmętach i o Lorelei kuszącej wędrowców śpiewem. Westchnął w duszy na tę chwilę snu na jawie, po czym podjął decyzję.

– Wyszukajcie wszystkich rycerzy, którzy mają u was jeszcze konie – powiedział do Hermanna von Belckego – a znalezionych zapytajcie, czy przyłączą się do templariuszy. Chcę samych ochotników. Także samo poszukajcie w obozie tyle włóczni, ile tylko dacie radę znaleźć. Bez włóczni bowiem wiele w polu nie dokażemy.

– Co zamierzacie uczynić, panie?! – Hermann w podnieceniu przestał go tytułować, jak powinien, „bratem”, lecz zwrócił się do niego jak do swojego dowódcy.

– Uderzę na tę jazdę – Winrych wskazał dłonią trzy pancerne kolumny, schodzące w dół zbocza – zanim zbiorą wszystkie czambuły w jedno i zaleją obóz. Zatrzymam ją, jak długo będę mógł. Wy wyprowadźcie króla z obozu i uszykujcie piechotę do marszu, jeśli dotrwa do nocy.

Hermann zrozumiał i ruszył natychmiast.

Winrych zszedł wolno z barykady, wziął od giermka wodze, dosiadł konia, założył kapalin i pokłusował do miejsca, gdzie stali jego konni.

– Pora nam, bracia, odebrać nagrodę, dla której wszyscyśmy przystąpili do Templum.

Jeźdźcy w białych rycerskich płaszczach i sierżanci w czarnych oponczach pokiwali głowami w milczeniu.

– Bracie Tilonie – zwrócił się do Bawarczyka – uczyn mi tę przysługę, że poniesiesz dzisiaj nasz sztandar.

Brat Tilo aż rozjaśnił się na twarzy i odparł:

– Pokąd mi tylko sił starczy!

– Zawołaj mi brata Piotra i kapelana Gotfryda – zakomenderował do giermka. Chłopak ruszył spieszenie i po chwili olbrzymi sierżant stał przy strzemienu Winrycha.

– Posłuchaj uważnie, miły bracie – rzekł Winrych. – Spróbujemy zatrzymać pogan do zachodu słońca. Gdy tylko zajdzie za horyzont, zaraz się ściemni. Wtedy weźmiesz naszą piechotę, młodych giermków i rannych, kobiety i dzieci nam powierzone i spróbujesz pójść w góry, a potem do Nikei, gdzie są Francuzi. Gdyby ta droga była zamknięta, idźcie na południe, ku morzu. Tam powinny być greckie garnizony. Niech cię Najświętsza Pani prowadzi!

– Wam, kapelanie – zwrócił się do Gotfryda – nakazuję, abyście przeżyli! – powiedział ze śmiechem i inni roześmiali się także. Potem uścisnął serdecznie prawice Piotra i Gotfryda, a do tego ostatniego rzekł jeszcze: – Masz to wszystko opisać w swej kronice i opowiedzieć braciom w Jeruzalem, że nie przynieśliśmy wstydu Świątyni. Pamiętajcie nas! Za mną! – rzucił do swoich jeźdźców i ruszył ku linii wozów zamykających szaniec. Słyszał za sobą szeptane cicho *Ojciec nasz*.

Przy linii wozów czekał Hermann i około czterdziestu konnych rycerzy i sierżantów. Kilku zebranych przez Hermanna giermków taszczyło naręcze włóczni. Ci z templariuszy, których lance wcześniej w boju zostały strzaskane, podjechali ku giermkom i uzupełnili oręż.

– Będziemy zaszczytzeni, jeśli zabierzesz nas ze sobą na tę przejażdżkę, templariuszu – oznajmił jeden z rycerzy na karym, silnym ogierze. – Jestem margraf Kuno von Ehrenfeldt¹⁰.

– Zaiste, panie, stosowne nosicie miano – odparł Winrych. – Dołączcie do nas.

Tabor rozsunał się przed nimi.

Winrych mocno wsparł się w strzemionach i rzucił potężnie:

– Kyrie Elejson!

– Chryste Elejson! – odpowiedzieli bracia.

– Kyrie Elejson! *Vorvaerst*¹¹!

Stu konnych pod czarno-białą chorągwią wyszło w pole.

Na szczycie szanca stali bracia Piotr i Gotfryd. Gdy zobaczyli, jak oddział Winrycha opuszcza obóz i, ustawivszy się w płytki szyk w płot, rusza na Saracenów, kapelan Gotfryd powiedział:

– *Arma virumque cano*¹²... – po czym dwie łzy stoczyły się mu po policzkach.

– Cóż tam szepcesz, bracie? – spytał ogromny Piotr Italczyk.

– Słowa te napisał kiedyś pewien Rzymianin. „Oręż opiewam i męża...”

Brat sierżant zamyślił się krótko i rzekł:

– Zacnie powiedział, postawiłbym mu gąsior wina, choć to był poganin.



– Templariusze idą do ataku! – wykrzyknął książę Henryk, patrząc z wysokości pagórka, na którym stała straż tylna, kiedy tarantowy sztandar nad płytkim szykiem jeźdźców szybko zbliżał się do pancерnej kolumny sułtańskiej gwardii.

– Mają jaja! – zauważył Świętosław Łabędź. – Mnisi, ale waleczni jak my za młodych czasów, gdyśmy z księciem Krzywoustym

10 *Ehrenfeldt* – po niemiecku „pole chwały”.

11 Niemieckie: „Naprzód!”.

12 Początek *Eneidy* Wergiliusza.

dobywali grodów pomorskich! – Po chwili dodał z uznaniem: – Poszli w płytkim szyku, żeby jak najwięcej pogan walką związać.

– Wesprzeć by ich trzeba! – gorączkował się Henryk.

Bolesław w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Nie on był tu wodzem i nie jego rzeczą było dzisiaj przewodzić. Jego zagniewany rodzic Władysław pozostał wśród własnego pocztu, niesko-
 ry dołączyć do rady.

– To samobójstwo – odparł Świętosław. – Jeśli pójdziem za nimi, wszystkich ludzi wygubim...

– Wszelako godziłoby się walczyć, a nie zemknąć z pola – sapnął Dypold z Turynгии. – Co o nas mówić będą? Żeśmy stali na wzgórzu i patrzyli?

– Tak miarkuję, że bitka i nas nie ominie, patrzcie jeno. – Świętosław pokazał włócznią w kierunku pola.

A tam templariusze potężnie zderzyli się właśnie z oddziałem gwardii sułtańskiej, wznosząc wielki tuman kurzu. Po chwili patrzących dobiegł zgiełk walki i metaliczny odgłos żelaza ścierającego się z żelazem. Rozpoczęło się wielkie *melee*.

Druga kolumna sułtańskich gwardzistów właśnie zatoczyła koło i wyszła na tyły templariuszy. Starcie poczęło tonąć w kurtynie pyłu.

Trzecia kolumna ciężkiej jazdy sułtana nie przyłączyła się jednak do potyczki w centrum pola i waliła wprost na wzgórze, gdzie stała straż tylna. Ktokolwiek prowadził ten pancerny czambuł, rozumował, że najpierw znieść trzeba ostatni chrześcijański odwód, a potem dopiero dobrać się do obozu.

– Co czynimy? – Dypold zwrócił się do Polaków.

– Niech podejda do nas bliżej, niech się zmęczą – rzekł złowrogo Świętosław Łabędź. – Uderzymy na nich z góry! Nie mam komendy nad wami, panie – komes zwrócił się do Dypolda – ale rozważcie, żeby wziąć waszą chorągiew i to, co zostało z Saksończyków, sformować w klin i zajechać pogan z boku, gdy my walniemy ich od czoła. I jedno jeszcze. Jeśli ich przełomimy, nie ścigajcie ich! Na miły Bóg, nie ścigajcie! Tylko zaraz nawracamy i uchodzimy na południe, ku naszym taborom i piechocie.

– To dobry plan. Tak uczynimy – odpowiedział Dypold. – Do obaczenia na dole! – Roześmiał się i odjechał ku swoim.

Po chwili lwy Turynгии i byczy łeb Saksonii powiodły niemiecki hufiec za pagórek i odbiły lekko w lewo, niknąc z pola widzenia.

– W klin, formuj się, w klin! – Na tę komendę Polacy posunęli się za swoimi chorągwiami, ustawiając w pierwszych szeregach tych konnych, którzy zachowali jeszcze włócznie.

Bolesław znowu znalazł się w szpicy klina i ponownie księżę Henryk zajął miejsce na lewym skraju jego szeregu. Zawsze najtrudniejsze przed każdą walką jest czekanie – przypomniał sobie Bolko słowa dziadka, księcia Krzywoustego, które słyszał, gdy jako dziecko bywał u niego w księżęcym grodzie w Płocku. Mocniej ścisnął w rękę jesionową włócznię.

Pancerni jeźdźcy Seldżuków zbliżali się klusem. Gdy byli o dwa strzelenia z łuku, zatrzymali się, sformowali ponownie w błyszcząca stala linię głęboką na cztery, pięć szeregów i ruszyli w kierunku Polaków. Szli równo, nie łamiąc szyku nawet na piędź. Nad nimi kołysał się las długich włóczni.

– Czekać! Czekać! – komenderował wielkim głosem Świętosław.

Pancerny czambuł puścił konie z klusa w galop, a potem w cwał i, ufny w swoją potęgę, ruszył pod górę.

Gdy Seldżycy dotarli do połowy grzbietu, Świętosław klepnął chorążego w ramię i krzyknął:

– W nich bij!

– Bij! Zabij! – odkrzyknęli Polacy.

Polski klin stoczył się na spotkanie sułtańskich gwardzistów. Zderzenie dwóch fal najeżonych ostrzami włóczni było straszne – niczym zderzenie dwóch mitycznych smoków o tysiącu pazurów.

W cwale Bolesław zauważył, że godzą w niego dwie włócznie pędzących w ciasnym szyku sułtańskich mameluków, od stóp do głów pokrytych siatką kolczugi. Wola boża – pomyślał – i wziął na cel swojego grotu jeźdźca po prawej stronie, starając się uprzędzić cios muzułmanina w swój nieosłonięty tarczą bok. Jednym spojrzeniem ocenił jednak, że włócznia wroga jest dłuższa i uderzy pierwsza. W ostatniej chwili zmienił kierunek ciosu

i zaatakował grotem kark konia mameluka, celując zaraz za ucho. Ostrze z okropnym chrupnięciem wbiło się w podstawę czaszki wierzchowca, zabijając go w mgnieniu oka. Lanca Bolesława poszła w drzazgi. Koń wroga zwinął się przez łeb, wyrzucając w powietrze zad, przekoziółkował, jak zając trafiony strzałą. Mameluk wyleciał z kulbaki, a jego włócznia z rozmachem wbiła się w ziemię. W tej samej chwili potężne uderzenie w tarczę odrzuciło ją i prawie wyrwało Bolesława z siodła – to drugi z jeźdźców trafił go włócznią. Tylko wysoki tylny łęk utrzymał Bolesława na miejscu, waląc przy tym w kręgosłup jakby obuchem. Bolkowi na moment pociemniało w oczach, więc nie dostrzegł, jak rycerz obok trafił mameluka włócznią i zwałił z konia. Zanim Bolesław w pełni odzyskał zdolność widzenia, dostał w hełm potężny cios ciężkim wschodnim buzdyganem i osunął się w ciemność.